DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok I. — Poznań 20 Lutego, 1888 r. — Nr. 6.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 złr. rocznie, 1 złr. 25 cent. ćwierćrocznie, z przesłaniem exemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciciele, odbierający „Dom polski“ w expedycyi, lub w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w expedycyi, ulica Podgórna nr. 8 — lub w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, I. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko expedycya, lub redakcya. — Inseraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednołamowego. — Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcya.

Z dawnych czasów i teraźniejszych dni.

Przez

KS. DR. CHOTKOWSKIEGO.

II.

Jeśli jest prawdą, co mówi Krasicki o rządach kobiecych, w takim razie może tutaj należałoby szukać klucza do zagadki, dla czego stan mieszczański w Polsce był tak systematycznie poniżany, aż upadł zupełnie. Mniejsza o to, że już przywilej nieszawski (1454) odsądzał mieszczan od nabywania własności ziemskiej i że następnie przywilej Olbrachta (1496) przyznawał prawo do posiadania ziemi tylko szlachcie, że wreszcie statut Łaskiego (1505) odsądzał od szlachectwa każdego, kto się trudnił „łokciem i funtem“; ale gorsze było to, że program exekucyjny nałożył cła na wywóz, a otworzył granicę obcym towarom. — Teraz mogły szlachetne damy kupować tanio zagraniczne materye, mieszczanki niebawem przestaną z niemi rywalizować, rynek krakowski obsiędą obcy kupcy, tak jak dziś zaczynają go obsiadać już żydzi.

Ale to wszystko stało się dopiero później. W tej chwili, w której się obracają moje spostrzeżenia, tj. w pierwszej ćwierci XVI stulecia, jeszcze stroiły się wszystkie wyższe stany — i to nad stan. Dowodem tego mogą być uchwały synodu, który r. 1523 zwołał prymas, Jan Łaski. Na tym synodzie zakazano duchownym nosić stroje światowe, mianowicie: tuniki rozpięte, kamizelki „marszczone“, buty spuszczane wedle szwajcarskiej mody, ogoniaste kapelusze itd. Jedwabiu pozwolił synod z r. 1511 używać kapelanom na królewskim dworze. Byli to zwykle panicze, pełniący urząd sekretarzy królewskich, czekający na wakujące kanonie, lub biskupstwa. Teraz (r. 1523) wyraźnie zakazuje synod używać duchownym jedwabiu na suknie. Kanonikom metropolitalnym i prałatom pozwala nosić suknie z materyi: „tabin, hatlas, kamlet.“ Innym zaś niższego rzędu kanonikom i plebanom każe poprzestawać na „haraszu“. — Nie wiem, jaka to była materya, którą synod zowie „harassium“, ale w „Liber Beneficiorum Jana Łaskiego“, który wydał ks. Korytkowski (Gniezno 1881. t. I, 242) zachodzi ta materya, jako używana na ornaty; nie musiała więc być zbyt podła.

Ten zbytek w strojach, przeciw któremu synod widzi się zniewolonym występować, doznaje dziwnej a smutnej ilustracyi przez uchwały tegoż samego synodu, bo zakazano tu równocześnie ubogim księżom boso wychodzić poza dom, i przepisano obuwie, sięgające przynajmniej do kostek. Na bosaka chodzić pozwala synod duchownym — tylko w podróży!... Jakiż to odstęp bezdenny dzielił duchowieństwo niższe od wyższego! A stąd mimowoli nasuwa się pytanie: czy inne, niższe stany nie musiały również poprzestawać na ubogiem ubraniu, podczas gdy wyższe błyszczały w wykwintnych i bogatych strojach?

Zbytek ma zawsze tę odwrotną stronę, że za cień służy mu nędza i niedostatek innych, aż i zbytkujący w otchłań nędzy się stoczą. Więc mimowoli zwraca się myśl do tych zbytków i strojów, na jakieśmy niedawnemi czasy patrzeli w Poznaniu, ale się reflektuję wspomnieniem tego losu, jaki spotkał sw. Kapistrana w mieście Ulm, a więcej jeszcze powstrzymuje mnie od dalszych wywodów ta uwaga, że gdzie nieszczęścia i klęski społeczne uczą same dostatecznie a boleśnie, tam kazanie zbyteczne.

Tyle jest rzeczą pewną, że nowoczesny zbytek w strojach ma o tyle gorszą stronę, że zmienność w modach zastępuje dawną drożyznę materyi. Suknie i stroje w XVI wieku były bez porównania droższe, niż są dzisiaj, ale mody się nie zmieniały i nie były tak kapryśne, jak za naszych dni. Więc odziedziczyć garderobę, choćby po prababce, nietylko nie było z ujmą dla wyprawy, ale owszem zaszczytne. Książę Radziwiłł umyślnie wdziewał stary kontusz przy wielkich recepcyach, aby się pochlubić, że w nim chodziło przed nim 12 wojewodów, jego przodków. Takie zaś odziedziczanie sukien było z dwojakiej przyczyny możliwe: najpierw, że materye były doskonałe i trwałe, więc suknie nie szły co chwila na płaty; a powtóre, że suknie były zawsze modne.

Potrąciłem tu o bardzo ważną ekonomiczną kwestyą, ale się boję zrazić sobie Czytelniczki „Domu polskiego“, więc zawracam w miejscu do ciekawszej sprawy, która płeć piękną po wszystkie czasy najbardziej obchodzi tj. do pytania: jakie też były ceny towarów w Krakowie, na początku XVI wieku?

Aby na to dać odpowiedź, muszę najpierw zauważyć, że od przeszłego wieku, tj. od zaprowadzenia t. zw. systemu merkantylnego, opierającego całe gospodarstwo społeczne na monecie, odmieniły się ceny. Zbytkowne rzeczy staniały, a przedmioty potrzebne do utrzy-

mania życia coraz bardziej drożeją. Składają się na tę odmianę cen jeszcze inne okoliczności i stosunki przemysłowe, ale ja tutaj traktatu z ekonomii społecznej pisać nie myślę. Dosyć, że przedmioty wszelkie zagraniczne i zbytkowne były w XV i XVI wieku strasznie drogie. Tak n p. w XV wieku kosztował łokieć najgorszego aksamitu więcej, niż karmny wół, a łót muszkatułowego korzenia kosztował więcej, niż łokieć najlepszego płótna. (Zimmermann, Bauernkrieg I, 307. Janssen, Gesch. d. d. Volkes I, 294). W Polsce szacowano w XV wieku wołu na grzywnę (48 groszy), krowę na 3 fertony (36 groszy). — Kmieć sandomierski skrzywdzony przez wojewodę r. 1452, oszacował przed sądem swoję szkodę w ten sposób, że 21 sztuk bydła cenił na 21 grzywien; 20 sztuk nierogacizny na 7 grzywien; 60 sztuk drobiu na 1 kopę (60 groszy); cały sprzęt z pola i łąki na 20 grzywien. (Helcel, Starodawne prawa pols. pomniki T. II, nr. 3602).

Jeśli weźmiemy za podstawę obrachunek, który podałem w przeszłym artykule moim, w takim razie ów włościanin sandomierski, wcale nieźle obliczył swą szkodę, bo każdą sztukę drobiu cenił po 1,50 marki teraźniejszej pruskiej. Taką bowiem wartość przyznaliśmy ówczesnemu groszowi polskiemu

Natomiast towary całkiem inną miały wartość i cenę Weźmiemy na dowód proces, jaki się toczył (r. 1524) przed sądem biskupa Tomickiego o sześć łokci sukna londyńskiego i sześć łokci barchanu na jupkę, („pro jopula“). Ten niemiły proces dowodzi zarazem, że i w XVI wieku byli niegrzeczni kupcy, którzy nietylko rachunki nasełali, ale i przed sąd pozywali dłużników, którzy na kredkę brali towary. Pozwany był tu ks. kanonik krakowski, J a n S a l o m o n i s, który sukna i barchanu na jupkę potrzebował od kupca bławatnego, W a w r z y ń c a B u b l o z Oświecimia. Wygląda to na pierwszy rzut oka na bagatelę, ale kupiec cenił 6 łokci sukna na 3 grzywny, a 6 łokci barchanu na 38 groszy polskich. A więc ta jupka warta była tyle co 3 woły i 38 sztuk drobiu: razem 216 marek. Jeden łokiec sukna kosztował 36 marek pruskich. Barchan był oczywiście tańszy, ale mimo to drogi, bo kupiec Bublo żądał za 6 łokci 57 marek teraźniejszych pruskich tj. za łokieć barchanu 9,50 marki pruskiej. Dzisiaj dostanie go dziesięć razy taniej.

Prawda, że tę jupkę drogo zapłacił ks. kanonik, ale i to prawda, że ją mógł nosić do śmierci, a nie zniszczyć. Jednakże był to strój zbytkowny, którego tylko kanonik mógł sobie pozwolić, a na który żaden uboższy ksiądz nie byłby się mógł zdobyć. Jeśli bowiem w tymże samym roku (1524) altarzysta w Bieczu, ksiądz Mikołaj z Gorlic, pobierał rocznego dochodu 5 grzywien; jeśli ks. wikary w Maninie, Felix z Pilczy, dostawał pół grzywny rocznego wynagrodzenia za to, że był kapelanem bractwa przy tymże kościele: to obaj zapewne o kupowaniu tak drogiego sukna marzyć nie mogli. Ale i sam ks. Salomonis jest w długach po uszy i kilka procesów wisi nad nim przed sądem biskupim. Skarżą go kupcy: Marcin Ziemianin, Jan Żywiecki, Mikołaj Stanas, o rozmaite towary. Ostatni z nich żąda 7 grzywien i 10 groszy za sukno, które kanonik od niego kupił i dał w zastaw złoty pierścień. Ziemianin skarży go o 12 grzywien, trzeci kupiec o 2 grzywny 1 złp. — jest więc tego sporo w jednym tylko roku, bo 19 grzywien i 20 groszy.

Widzę jednakże, żem odbiegł od tematu, więc należy wrócić do mieszczanek krakowskich, o których pisać głównie zamierzyłem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PRZEZ PIEŚŃ DO CZYNÓW.

Czy pieśń radosna już dla nas ustała?
Czyli tam cichnie, gdzie huczy nawała?
Gdzie wicher nieszczęść przytłumia strun dźwięki,
Gdzie znane tylko łzy, rozpacz i męki?...

Dziką li pieśnią tętnią lutni struny,
Jakoby chciały przygłuszyć pioruny;
A wśród tych tonów brzmi marsz pogrzebowy
I słychać jęki i lament grobowy.

A jęk ten chociaż głuchy, ale głośny,
Lament choć cichy, a jednak donośny;
Bo gdy, choć cicho, zajękną miliony,
Groza tej ciszy wstrząśnie nawet trony.

Lecz nie czas płakać! — w stal uderzmy czynów!....
Jedno niech żądza chwały, ni wawrzynów
Nie wiedzie do nich — lecz powinność nasza!...
Od jej spełnienia niech nic nie odstrasza.

Tak, d r o g ę c z y n ó w obrać nam potrzeba,
Bo ta prowadzi do wolności nieba;
I niechaj mistrze, natchnieni od Boga,
Swą pieśnią głoszą, kędy wiedzie droga.

Niech pieśń ich wskrzesi miłość w zimnem łonie,
Niechaj w niem nowy zapał znów rozpłonie,
Byśmy wytrwali na drodze cierpienia,
Póki nie ujrzym jutrzenki zbawienia.

Więc zabrzmij, lutni, radosnemi tony,
I niechaj zapał, twą pieśnią wskrzeszony,
Napełni serca, dręczone zwątpieniem,
Upadające pod ofiar brzemieniem!

I niech zapragną po wiekach cierpienia
Z win ojców, z własnych błędów.... odrodzenia!
Niechaj nabędą hartu, woli siły,
Aby wydobyć się z dziejów mogiły.

Niech w martwe trupy tchnie pieśń iskrę życia,
Niech zimne serca zmusi znów do bicia,
Niech wśród ciemności pochodnią zaświeci
I drogę wskaże, kędy anioł leci.

Anioł wolności!... promienisty cały,
Bo do zwycięztwa wiedzie i do chwały....
O! zabrzmij, struno, o! uderz, piorunie,
A pierzchną mary w pogrzebnym całunie.

Przy twoich dźwiękach w szeregu staniemy
I światłą drogą do celu pójdziemy;
A kiedy staniem na tej drogi szczytach,
Zatkniemy sztandar nasz w jasnych błękitach.

. . . .
. . . .

Sztandarem naszym w tej walce, w tym boju
Niechaj Bóg będzie i wiara pokoju,
A naszą bronią — w y t r w a ł o ś ć, m o c d u c h a,
Naszą ofiarą — p o k u t a i s k r u c h a.

Józef B. K.

26. I. 88.

WILLA ERLACH.

Powieść przez **Ossipa Schubina.**

Z języka niemieckiego tłomaczyła **A. P.**

Przypatrzmy się willi Erlach. Winem obrośnięty zameczek nad Sawą; wesoły jadalny pokój z szeroko otwartemi oknami, przez które widać tysiące błyszczących gwiazd na ciemno błękitnem niebie, zapach akacyi i lipowego kwiatu szerokim prądem wpływa do pokoju. — Pod wiszącą lampą, przy stole z resztkami obfitego deseru siedzi sześć osób, z któremi po kolei zapoznamy czytelnika: pan domu, rotmistrz v. Leskjewitz, żona jego i siedmioletni ich synek, Freddy; nadto panna v. Gurlichingen, którą pani Leskjewitz poznała przed dwudziestu laty, a której się od tego czasu pozbyć nie mogła, i dwóch panów, generał v. Falk i baron Edgar v. Rohritz.

Generał należał do rzędu tych młodych starców, których często spotkać można w wiedeńskich salonach, albo u czeskich wód. Od niepamiętnych czasów znany był w całej Austryi, jako nieporównany towarzysz, złośliwy dowcipniś i wybredny smakosz. Chwalił się często tem, że że od trzydziestu lat nie jadł ani razu obiadu w domu, mógł przytem jeszcze dodać, że ani razu na własny koszt. — Nigdzie go nie zapraszano, ale też i nie wyrzucano — co było wynikiem, że spotykano go prawie wszędzie. W wyborze towarzystwa wolny był od wszelkiego przesądu, obracał się na przemiany to w kołach arystokratycznych, to finansowych, właściwie wolał te ostatnie, bo, jak twierdził: kuchnia tam była lepsza. Pomimo swych siedmdziesięciu lat trzymał się bardzo prosto, ubierał zawsze po młodzieńczemu i często w rozmowie ze szczególnem mrużeniem oczu i na pół ironicznym uśmiechem powtarzał wyrazy: „my młodzi ludzie“; wreszcie tańczył na balach z ochotą i lekkością młodzieńca.

Baron von Rohritz, liczący dopiero trzydzieści sześć lat, uważał się przeciwnie dla osobistej wygody za starszego, niżby się należało, człowieka. Wysokiego wzrostu, smukłej postawy, o wązkiej z regularnemi rysami twarzy, wyglądał nawet na klasę ludzi, z której pochodził, nadzwyczaj dystyngowanie. Przy ciemnych wąsach dziwnie odbijały zupełnie siwe włosy, co kobiety zwłaszcza znajdowały nadzwyczaj interesującem, bo ogólnie mówiono, że nieszczęśliwa miłość przyczyniła się do tego. Największą twarzy jego ozdobą były ciemno-błękitne oczy, ale ponieważ dla krótkiego wzroku zawsze używał monokla, oczy jego miały zimny i dumny wyraz. — Kiedy się uśmiechał, twarz jego stawała się nadzwyczaj ujmującą, ale uśmiechał się rzadko, a najchętniej przestawał z psami, końmi i dziećmi.

Panna v. Gurlichingen, nazywana Stazyą, w skróceniu chrzestnego jej imienia Anastazya, była starą panną; niegdyś za piękność uchodząc, czego zapomnieć nie mogła, z upodobaniem nosiła złote obręcze w mocno ufryzowanych włosach. — Omdlewające jej biało-niebieskie oczy porównał ktoś złośliwy z niezapominajkami, posypanemi cukrem, płeć jej stanowczo przypominała glansowaną skórkę, mocno pokrytą pudrem.

Przed dwudziestu laty, kiedy była młodą, o mało co nie poszła za księcia — a niedawno temu biedny oficer piechoty wzgardził jej ręką. Przybyła do willi Erlach pocieszyć się po doznanej stracie, a może i znaleźć zastępcę godnego jej serca.

Mały Freddy był bardzo ładnem, popsutem dzieckiem, w marynarskiem ubraniu, z gołemi, podrapanemi nóżkami. Pani i pan domu było to dwoje sympatycznych ludzi, pełnych rozmaitych dziwactw. Nie robiąc sobie żadnych iluzyi, pobrali się przed ośmiu laty nie tyle z przywiązania, jak drugim na przekorę i oboje wnieśli w to małżeństwo reszty nieszczęśliwych miłości; pomimo, że się wiecznie sprzeczali, nie żyli jednak mniej zgodnie niż, prawdę powiedziawszy, dwie trzecie małżeństw, potworzonych z miłości.

Czekano na czarną kawę, którą pani domu z obawy przed plamami, nigdy, albo w bardzo ważnych okolicznościach w salonie podawać kazała. Ukazanie się tego ulubionego napoju opóźniało się dziś nadzwyczaj i słynący z przyjemności pobyt w willi Erlach zamieniał się dzisiaj w ziewające oczekiwanie.

Oprócz barona Rohritza, który siedział cały czas milczący z na pół przymkniętemi oczami, zapatrzony w obłoczki dymu, wydobywające się z jego Virginii, reszta towarzystwa przyczyniała się, o ile możności, ażeby utrzymać co chwila ustającą rozmowę. Generał opowiadał anegdotki z „Fliegende Blätter“, Freddy chciał zabawić towarzystwo osobliwszą muzyką, mokrym palcem obwodząc brzeg kieliszka, napełnionego winem. Stazya opisała w nader poetyczny sposób porównanie między burzą bez deszczu a sercem bez łez, cierpiącem; a małżeństwo z nadzwyczajnem ożywieniem wdało się w rozprawę o zarazie kartofli, następnie przeszli na politykę — ale pomimo to rozmowa nie kleiła się jakoś. Od kilku minut panowała nawet zatrważająca cisza, słyszano tykotanie kieszonkowych zegarków — kiedy wszedł służący, niosąc na tacy świeżo nadeszłą pocztę.

Podczas kiedy rotmistrz chwycił za gazetę, ażeby nerwowej Stazyi przeczytać z nieubłaganą dokładnością ostatnie wypadki cholery, pani v. Leskjewitz otworzyła dwa listy. Jeden pochodził od kupca z Tryestu z zawiadomieniem, że zamówione przez nią towary już nadeszły, a drugi zawierał prawdopodobnie bardzo przyjemne doniesienie. Rzuciwszy nań okiem, pani v. Leskjewitz położyła go z zadowoleniem na stole.

— Dzieci, zawołała — było jej zwyczajem starszych ludzi tem mianem obdarzać, bo oprócz Freddego, który liczył lat siedm i generała, który sobie włosy farbował, obecni mieli mniej lub więcej siwe włosy, — dzieci, powtórzyła, nasze towarzystwo powiększy się, bratowa moja pisze, że przyjmując nasze zaproszenie, jutro, albo pojutrze tu przybędzie.

— Brawo, zawołał rotmistrz, który w obec tej wieści zapomniał gniewać dłużej Stazyą, opuszczając trzy telegramy o cholerze. Cieszę się bardzo na swoję siostrzenicę.

— Freddy odrzekł z namysłem: Ciekawy jestem bardzo, co też mi ciocia przywiezie. Reszta towarzystwa zachowała się w obec tej wiadomości nader biernie: po części może dla tego, że wniesiono dawno oczekiwaną czarną kawę, a może i dla tego, że oprócz Stazyi, nikt nie znał siostry rotmistrza, baronowej Meineck, a tem mniej jej córki. Kiedy wypito kawę i podczas, gdy małżeństwo sprzeczało się z nadzwyczajną energią o godzinę nadejścia pociągu, którym oczekiwani goście przybyć mieli, generał przeszedł z baronem do salonu na zwyczajną wieczorną partyą triktraku.

— Skończyło się przyjemne i bez żeny życie, westchnął generał.

Rohritz spojrzał pytająco.

— Czy to ma znaczyć, że *in gratiam* nowych gości mamy codzień we frakach przychodzić do stołu?

— Tego nie sądzę, odparł generał, elegancyi te panie nie żądają, ale — i twarz jego przeciągnęła się — trzeba będzie na siebie więcej uważać w rozmowie.

Rohritz uśmiechnął się dziwnie.

— Ba! sześć, zawołał, rzucając kostki na zielonem suknie, poczem zaczął z uwagą przestawiać figury na szachownicy.

Tymczasem rozmowny generał ciągnął dalej niepytany.

— Leskjewitz jest bardzo cierpliwy na dziwactwa siostry i wysoko ceni siostrzenicę, ale, mówiąc między nami Leksjewitz jest głupcem, i generał zaśmiał się sam do siebie.

Pomimo, że żywił się ich kosztem, generał skrycie wyśmiewał się ze swych znajomych w sposób nie bardzo

dla nich pochlebny. Rohritz uważał to za rzecz bardzo niewłaściwą i milczał.

— Nie znam tych dam osobiście, mówił dalej generał, zacierając ręce, ale w oryginalności — i tu stary pan zapukał palcem po czole — w oryginalności nie ustąpi rotmistrzowi ani matka, ani córka. Matka jest stara, nieznośna „bas bleu" od dziesięciu lat jeździ po świecie i zbiera notatki do dzieła o Medycynach, gdyż tak się pewnie nazywają.

— Zapewne Medyceusze? zagadnął Rohritz.

— Być może, wiem tylko, że mają w rodzinie aptekarza i pigułki w herbie i że dzieło poczciwej baronowej ma zawierać ośm tomów!

Stazya tymczasem, rozparta w wygodnym fotelu, zagłębiała się po raz setny w ostatnim rozdziale „Paul et Virginie," będącem ulubionem jej dziełem; szczególniej rozczulała się nad śmiercią bohaterki, twierdząc, że znakomicie umie się wstawić w jej położenie. Widząc, że nikt nie zwraca uwagi na jej łzy i wykrzykniki, odłożyła książkę i wmieszała się do rozmowy.

— Mówicie panowie o Meineckach?

— Tak jest, czy pani zna ich osobiście? zagadnął generał.

— Nie wiele.... zawsze się od nich trochę z daleka trzymałam, ale przeszłego roku spędziłam kilka miesięcy w Calow, pielęgnując chorą przyjaciołkę, na tej samej, co i one willigiaturze; tam widziałam i słyszałam niejedno o baronowej Meineck i jej córeczce.

— Czy to wszystko prawda, co o oryginalności tych pań opowiadają? zapytał zaciekawiony generał.

— Nie wiem, co mówią, odparła skromnie Stazya, w każdym razie są bardzo oryginalne. Baronowa, niestety! za późno doszła do przekonania, że rozmnażanie się rodu ludzkiego jest zbrodnią. Jedną z jej manii jest, że wszędzie, gdzie zajedzie, *à tort et à travers*, miewa gratis odczyty o amerykańskim systemie Schäkera. Pomimo usilnych starań dotąd niewielu znalazła zwolenników tej zasady; nawet starsza jej córka, która przez kilka lat fanatycznie dzieliła przekonania matki, wyszła niedawno za oficera od piechoty. Młodszej siostrze Stelli, którą panowie poznacie, nie było bardzo przyjemnie mieć za szwagra tak mało znaczącą osobistość, baronowej zaś nie chodziło wcale o gatunek zięcia, dla niej małżeństwo samo było ciężką zbrodnią. Na ślubie ukazała się w żałobnej sukni i tylko namowie rodzeństwa zawdzięczyć można, że papier, na którym wypisane były zaproszenia, nie miał czarnej obwódki.

— Ach! a druga córka — hm! mówię o tej, która tu ma przyjechać.

— Ta obecnie nie myśli o zamążpójściu, sposobi się do wystąpienia na scenie!

— Mówiąc między nami, nie wiem, czy znalazłaby się panna, która do sześćdziesięciu lat nie przeszłaby się chętnie za mąż, ha! ha! ha! zaśmiał się generał. Stella pewno nie stanowi wyjątku, ale wystawia sobie może, że, występując na scenie, zrobi świetniejszą partyą.

Stazya tymczasem mówiła dalej:

— Właściwie żal mi Stelli, w innych okolicznościach byłaby bardzo milutką, ale tak, jest doprawdy okropna. Przed dwoma laty napadła ją passya konnej jazdy; godzinami szalała na angielskim, rasowym koniu, którego za bezcen kupiła z powodu ślepoty na jedno oko. Finanse Meinecków nie pozwalają na trzymanie grooma, ale i duma rodowa wzbraniała przyjąć jednogłośnie ofiarowanego towarzystwa młodych ludzi z okolicy; i Stella Meineck w amazonce ha! ha! ha! którą sobie ze starego szafirowanego pokrycia kanapy wykroiła, objeżdżała sama okolicę Pewnego dnia baronowa bardzo potrzebowała pieniędzy na kupno nowego historycznego dzieła, czy też na przestawienie pieca, z którego się dymiło, nie wiem zresztą już na co, dość, że konia sprzedano komuś z okolicy. Stella płakała bez przerwy cały tydzień nad poniesioną stratą. Dziś koń oślepł zupełnie i wozi mierzwę, a dawniejsza jego pani — przy każdem spotkaniu całuje go w czoło.

— Ach! c'est besoin d'aimer! zaśmiał się generał.

— Trzy razy tygodniowo jeździ sama do Pragi i bierze lekcye śpiewu u długowłosego metra, który jej przepowiada karyerę Alboni. Co z tego wyniknie, wiedzą bogowie! Natura Meinecków prędzej, czy później na jaw u niej wyjdzie. Ojciec jej prowadził życie, którem się nawet towarzysze jego gorszyli, a ciotka jej... słyszeliście, panowie, zapewne o Eugenii von Meineck, byłej miłości rotmistrza...

Potok jej wymowy zatrzymał się, w tej chwili rotmistrz wszedł do salonu.

— Cieszę się, mój drogi, że twój *séjour* w willi Erlach urozmaici się trochę, odezwał się do Rohritza.

— Zapewniam cię, że nie potrzeba żadnej zmiany, aby mój pobyt tutaj uczynić przyjemniejszym, odparł Rohritz grzecznie.

Rotmistrz podziękował poważnie przesadzonym ukłonem.

— Pomimo to, odparł, przyznasz mi, że jesteś jeszcze w tym wieku, w którym gustuje się w towarzystwie ładnej, rozumnej dziewczyny?

Rohritz przygryzł usta, miał dziwny wstręt do tak zwanych „rozumnych kobiet."

— Czy znajdujesz pan pannę Meineck rozumną — *vraiment* rozumną? odezwała się Stazya, wykrzywiając usta.

— Posiada wiele nieszkodliwego dowcipu, a ładnej dziewczynie jest z tem do twarzy, odparł rotmistrz oschle.

— Znajdujesz ją pan *ładną?* — zapytała Stazya niedbale. Nie mogła się do tego czasu zdecydować nazwać jakiejbądź młodej dziewczyny ładną.

— Ładną? ależ śliczną, zachwycającą, odparł rotmistrz z gniewnem *crescendo.*

W tej chwili weszła pani domu, zirytowana niedbałością służby, którą dostrzegła przy przeglądzie gościnnych pokoi.

— O cóż chodzi? spytała.

— Różnica zdań co do twojej siostrzenicy Stelli, koteczko, odparła Anastazya słodko, opierając głowę omdlewająco o poręcz fotelu i składając ręce.

Twój mąż znajduje ją cudownie piękną.

— Ach! mój mąż zawsze przesadza, zauważyła pani Leskjewitz.

— Nie powiedziałem „cudownie piękną", mówiłem, że jest zachwycającą, odparł gniewnie.

— Jest ładną i ma to, co się podoba, potwierdziła pani domu, ale mój mąż szczególne ma w niej upodobanie, bo przypomina dawną jego miłość, Eugenię v. Meineck. Co do mnie — to podobieństwo jest właśnie jedyną rzeczą, która mi się u Stelli nie podoba. Szkoda zaprawdę, że cnoć tylko składem twarzy ciotkę swoję przypomina.

— Bardzo niedelikatnie z twej strony poruszać ten temat, odparł szorstko rotmistrz, którego twarz przy ostatnich słowach żony ciemnym się pokryła rumieńcem.

Żona opowiadała o nim, że całe swe życie miał spędzić u kadetów, co bynajmniej z jego powierzchownością się nie zgadzało; był to wysoki, silnie zbudowany mężczyzna, o twarzy od wichru i słoty zahartowanej, o rysach przypominających południowego Słowaka.

— Bardzo niedelikatnie, powtórzył z naciskiem.

A mnie się to zdaje nadzwyczaj śmiesznem, kiedy nie można zapomnieć doznanych rozczarowań — dodała pani Leskjewitz, która od ośmnastego roku życia, grała rolę doświadczonej matrony — nadzwyczaj śmiesznem, powtórzyła, naśladując humorystycznie pełen wyrzutu głos męża. Przy tych słowach pochyliła główkę, okrytą bujnym włosem, z prostotą w węzeł ułożonym, przymknęła oczy i założyła rękę za skórzany pasek ciemno-niebieskiej płóciennej bluzki. Baron Rohritz, znawca kobiet, włożył monokl i przyglądał jej się uważnie. Nie będąc ładną i nie starając się o to bynajmniej, powierzchownością swą przecież robiła bardzo miłe wrażenie. Podług obliczenia barona, musiała mieć około trzydziestu czterech lat, a pomimo to

smukła jej postawa nie straciła dotąd wdzięku młodości. Ruchy miała energiczne, odpowiadające celowi, co nie raziło, chociaż sprzeciwiało się właściwemu kobietom wdziękowi. Główną ozdobą jej bladej, owalnej twarzyczki była para ciemnych oczu, przysłoniętych długiemi rzęsami i zmieniających bezustannie wyraz; rysy jej były ładne, nie będąc regularnemi, a uśmiech pociągający. uroczy.

— Tak jest, odparła raz jeszcze, obstaję przy tem, że nie ma nic śmieszniejszego, jak nie módz się pozbyć doznanych dawno wrażeń.... Mój Boże! wyznam to przed całym światem, że mężczyzna, w którym się przez cztery lata bez wzajemności kochałam, był jednym z najarozumialszych osłów na świecie.

— Tyś się w nim nie kochała, zaprzeczył rotmistrz, nie będąc wolnym od zazdrości, była to tylko *une idée fixe.*

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KORESPONDENCYA „DOMU POLSKIEGO."

Poznań, d. 19 lutego.

Popiół środy popielcowej, uważany podobno przez Turczynów i innych pohańców za jedyne lekarstwo na „szalone swawole“ Polaków, jak dawnemi czasy, tak i obecnie okazał u nas swe skutki. Jakkolwiek wprawdzie popielec niewiele tym razem miał zmian do przeprowadzenia, dla tego, że karnawał tegoroczny był u nas więcej, niż kiedykolwiek, poważny, to jednakowoż do reszty przygłuszył w nas objawy wesela i radości. Jak do sal koncertowych, tak i do mieszkań prywatnych wstąpiła smętna powaga i pobawi w nich, dopóki radosne „alleluja“ nie zadzwoni do duszy...

Do naszych domowych kłopotow, które nam codzienne nasze życie zatruwają, przyłączyły się w ostatnim czasie także jeszcze zaniepokojenia z zewnątrz, Otoż, mimo zapewnień ze wszystkich stron, że żadne państwo o wojnie zaczepnej nie myśli, obawy wojenne uporczywie utrzymują się na porządku dziennym głównie dla tego, że każdy widzi naocznie coraz to większe zbrojenia się i przysposobienia wojenne. Jako fakt w tej mierze charakterystyczny z samego Poznania przytoczyć możemy, że tutajsze cechy w dniach ostatnich odebrały liczne nadzwyczaj zlecenia za dostawę w jak najkrótszym czasie ubiorów i obuwia dla wojska.

Mowa księcia Bismarcka, wypowiedziana z powodu obrad parlamentu nad nowelą do ustawy o służbie wojskowej, bynajmniej tych obaw nie usunęła, ani nie zmniejszyła. Najlepszym tego dowodem głosy tak rosyjskiej, jak francuzkiej prasy, rozbierające słowa kanclerza niemieckiego, że „Niemcy nikogo na świecie się nie boją.“

Dla tego jednak, że żadnego przystępu do tajnych archiwów dyplomatów europejskich nie mamy i wiedzieć, ani przesądzać nie możemy, czy rzeczywiście będzie wojna, pozostawmy obawy wojenne europejskim „strachajłom“, a powróćmy raczej do kilka światlejszych chwil przedpopielcowych w wielkopolskiej naszej stolicy.

Nie chcę tu przypominać balów i skromnych zabaw, karnawałowych (zostaną bowiem i tak w pamięci zbyt żywej tych, co na nich serca albo postradali, albo zyskali), ale za kronikarski swój obowiązek poczytuję zapisanie kilku przedstawień amatorskich, które się u nas pod koniec karnawału odbyły na cele dobroczynne. Na pamięć zasługują tu w pierwszym rzędzie przedstawienia, urządzone przez panie-opiekunki ochronki na Chwaliszewie. Wypadły one pod każdym prawie względem świetnie, a szczególniej części muzykalne zadowoliły do tego stopnia, że słuchacze często pozostawali w wątpliwości, czy słyszą produkcye amatorek i amatorów, czy też artystek i artystów z Bożej łaski. Szkoda, że tego nie możemy powiedzieć także o koncercie na szklankach, ale jeśli o czem, to przekonał nas koncert ten o prawdzie, że i Polacy zdolni są przyswoić sobie sztuki, z któremi zwykle u nas popisują się tylko Włosi i Hiszpanie.

Odegrana przy tejże sposobności jednoaktowa komedyjka Labicha, p. tyt.: „Uściskajmy się,“ wywołała tak samo liczne i zasłużone oklaski pochwalne, a na wyszczególnienie zasługuje mianowicie gra panny M. i pp. M. W. i K. P. Szczególnie pierwsza grała tak doskonale, że miejscami mogła być nawet dla zawodowych artystów wzorem. Dwa żywe obrazy, które przedstawienie zakończyły, i to: „Odczyt z Homera u starych Greków“ i „Wybór szkatułek“ z „Kupca weneckiego,“ miały wszystkie warunki, jakich od utworów podobnych żądamy. W ogóle powiedzieć można, że oba przedstawienia, urządzone na cele ochronki chwaliszewskiej, należały do najwięcej uroczych wieczorków poznańskiego zeszłego karnawału.

Milczeniem pominąć nie możemy, że i tutajsze gimnastyczne towarzystwo, „Sokół“, po raz pierwszy, w b. r. urządziło amatorskie przedstawienie, wystawiając komedyjkę Dobrzańskiego: „Wujaszek Alfonsa,“ i obraz sceniczny L. Sosnowskiego: „Dożynki w XIX wieku.“ I tu amatorzy odegrali swe role z wielkiem powodzeniem i życzyć tylko można, ażeby „Sokół“ poznański częściej na wzór „Sokołów“ czeskich wzlatywał publicznie.

Od amatorskich przedstawień do teatru tylko jeden krok.

Najważniejszym faktem, który nam z sceny poznańskiej w ostatnim czasie zapisać należy, jest wystawienie tragedyi S t a n i s ł a w a K o z ł o w s k i e g o pod tytułem: „Kazimirz Wielki i Esterka.“ Od wielu lat nie doznała w Poznaniu żadna sztuka takiego powodzenia, jak najnowsza tragedya autora „Alberta, wójta krakowskiego.“ Sztukę tę wybrała na swoj benefis pani Marya Bissen-Janowska, a umiejętny ten wybór wynagrodziła publiczność poznańska, przepełniając salę teatralną do tego stopnia, że dochód z przedstawienia był najwyższy, jaki w naszym teatrze kiedykolwiek przy cenach zwykłych osiągnięto.

Entuzyazm, z jakim tak w Krakowie, jak w Poznaniu dramat: „Kazimirz Wielki i Esterka“, przyjęto, tłomaczy się naturalnie wartością samego utworu. W rzeczy też samej przyznać należy, że dramat ten góruje do tego stopnia ponad efemerycznymi swymi braćmi, że długo się na scenie polskiej z wielkiem powodzeniem utrzyma i długo uchodzić będzie za jeden z najlepszych dramatycznych naszych utworów.

Zapatrując się na dramat ten, jako na całość, zarzucićby jedynie można, że na nazwę tragedyi nie zasługuje; poszczególne jednakowoż jego części lśnią takim powabem i blaskiem, że zapomnieć każą widzowi o niedomaganiach całości, których pokryć nie zdoła np. twierdzenie, że „miejsce jedności akcyi zajmuje w dramacie idea polityki państwowej Kazimirza Wielkiego.“ Ostatnia jednak, jak w ogóle pamięć króla chłopków i jego stosunku do żydów nadają dramatowi w oczach publiczności urok nadzwyczajny, a przy doskonałem wykonaniu zewnętrzem, olśniewają ją zupełnie.

Artyści nasi poznańscy odegrali „Kazimirza Wielkiego“ z takiem zrozumieniem, że przywykli widzieć ich w utworach lżejszego kalibru prawie wierzyć nie chcieliśmy, że znajdujemy się w skromnym teatrze poznańskim. Nie tu miejsce rozbierać grę poszczególnych artystów, ale zaznaczając, że ogólnie była wyśmienitą, podnieść należy, iż, jak zawsze, tak i w „Kazimirzu Wielkim“ panowie: Skirmunt, Popławski, Janowski i Trapszo, oraz pani Janowska okazali się siłami niepoślednie wielkości. Także i gra panów Jakubowskiego i Siedleckiego byłaby najzupełniej zadowoliła, jeśliby w pierwszej jeszcze więcej uwydatnioną została godność królewska, a w drugiej szlachetna powaga. Z in-

nych ról zapomnieć trudno nadzwyczaj wdzięcznej gry panny Morskiej w roli Lotana, wnuka żupnika Lwa.

Z innych przedstawień w naszym teatrze z ubiegłych dwóch tygodni na dzisiaj zapisujemy jeszcze tylko wystawienie sztuk ludowych: „Krakowiacy i Górale“ I. N. Kamińskiego i „Czartowska Ława“ I. K. Galasiewicza. Szczególnie licznie na dwóch tych sztukach obsadziła publiczność loże górne. Między innemi na jedno przedstawienie „Krakowiaków i Górali“ stanęło kilkuset wieśniaków z pod Poznania, zadając kłam wszystkim tym, którzy lud nasz uważają pod każdym prawie względem za niedojrzały i niezbędnie pragną, ażeby pozostał w ciemnościach Beocyi. Nad podziw smutnem echem odbiła się o serca wszystkich ludzi uczciwych wieść, że niektórzy t. zw. „przywódzcy ludu“ starali się odwieść go od zwiedzenia „Krakowiaków i Górali.“ Możnaby tu powtórzyć z Lenartowiczem:

a kto się z ludem nie cieszy, jak dziecię,
nie ma co robić na tym Bożym świecie.

Żegota.

Jak żywić niemowlęta i dzieci,

napisał

Dr. Józef Koszutski.

(Ciąg dalszy. — Zob. Nr. 1, 2, 3 i 5.)

Zanim wskażemy, w jaki sposób szczęśliwa matka, której pierś wezbrała „strumieniem Edenu, t. j. mlekiem i miodem dla świeżo narodzonej istoty“ *) otwierać ma ją, aby ów strumień płynął do ust niemowlęcia — winniśmy choć pobieżnie podać skład chemiczny tego najcenniejszego pożywienia, mającego odtąd służyć mu za wyłączne źródło sił rozwoju i zdrowia na przeciąg co najmniej kilku miesięcy.

Pokarm matki zawiera w sobie pięć głównych części składowych: wodę, białko, tłuszcz, wodniki węgla i sole.

I tak w mleku niewieściem znajdujemy:

wody	88, 7%
sernika (kazeinu) i białka .	2, 2%
tłuszczu	3, 3%
cukru mlecznego	4— 5, 0%
ciał mineralnych, t. n. soli .	0,25%

Wedle najnowszych badań, przez E. Pfeiffera nad mlekiem wielu matek dokonanych, zawiera ono, gdy je w dwóch pierwszych dniach po przybyciu dziecięcia na świat śledzimy, małą tylko ilość cukru, a obfitą białka i soli. Mleko takie zagotowane zsiada się.

Następnie z każdym dniem dalszym karmienia zmniejsza się białko w mleku matki, a około jedenastego miesiąca wynosi tylko 1,405%. To samo dzieje się z solami, podczas gdy cukier aż do 6,179% się zwiększa.

Co do tłuszczu, to zawartość jego w tem mleku nie jest stałą; występuje on z początkiem karmienia zwykle tylko w mniejszej ilości — i dopiero później dochodzi do powyżej wymienionej liczby 3,3%.

Ilość mleka, przez jednę dobę wydzielonego, zwiększa się w początku karmienia znacznie — następnie pozostaje ono przez pewien przeciąg czasu na równej wysokości — a po kilku miesiącach znowu zmniejszać się poczyna.

Pokarm matek w wieku od 20—30 lat żyjących, jest tłuściejszym, żyzniejszym — niż pokarm osób starszych. Matki, które już kilka razy wywiązały się z świętego obowiązku karmienia dzieci własną swą piersią, mają zwykle pokarm tłuściejszy od tych, którym tę słodką ofiarę po raz pierwszy składać przypadło w udziale.

*) Trentowski. Chowanna. Op. cit. strona 368.

Mocne, posilne żywienie się matki pociąga za sobą wytwarzanie się większej ilości ciał stałych, t. j. przeważnie białka i tłuszczu i zmniejszanie cukru i soli — czyli ciał mineralnych.

I ilość mleka, przez jednę dobę do żołądka niemowlęcia się dostająca, była przedmiotem obliczań i dochodzeń. Przeciętne liczby, podane nam przez Hähnera, Ahlfelda, Kammerera, wynoszą:

w 1-szym	dniu	44	gramów	po 2	przyłączeniach	do piersi
w 2-gim	—	130	—	— 5	—	—
w 3-cim	—	192	—	— 6	—	—
w 4-tym	—	266	—	— 6	—	—
w 5-tym	—	352	—	— 7	—	—
w 6-tym	—	385	—	— 7	—	—
w 7-mym	—	383	—	— 6	—	—
w 8-mym	—	411	—	— 7	—	—
w 9-tym	—	425	—	— 7	—	—

Z powyższych liczb wywnioskować także możemy odwrotnie, ile pokarmu dziecina z piersi matki naraz wyssać może z korzyścią dla siebie.

Że w karmieniu dziecięcia koniecznie nam wypada zachować pewien ład i porządek, i to począwszy od pierwszego dnia aż do chwili odłączenia zupełnego — zgodzono się powszechnie.

Skoro tylko dziecina po pierwszej kąpieli i dostatecznym śnie zgłosi się z objawami pragnienia i głodu, należy ją przyłączyć do piersi. Dzieje się to zwykle po czterech, sześciu, ośmiu, lub dwunastu godzinach, zależnie od sił dziecka, lub matki.

Mleko pierwsze, jak to już powyżej wspomniano, różni się znacznie od mleka w następnych dniach i tygodniach, w piersiach matki się tworzącego — i ma przeważnie pobudzić kiszki niemowlęcia do zwolnienia ich z dotychczasowych zawartości. Uzyskawszy to w sposób naturalny, lub sztuczny, uważać winniśmy odtąd, jako na rzecz wielkiej wagi, że mleko matki, pomimo iż w postaci płynnej do ust niemowlęcia się dostaje — nie jest napojem, lecz pożywieniem. Że zaś niem jest w istocie, to też i ilość, w której je dziecina do siebie przyjmuje, może być równie niestosowną, za wielką, lub za małą, jak to się dziać może z każdą inną potrawą i pociągnąć za sobą mniej, lub więcej wydatne szkody.

Rozumie się samo z siebie, że niemowlę z początku mniej, zwolna zaś, stósownie do sił jego trawienia i wzrostu ciała, więcej wymagać może i wymaga. Troskliwa Opatrzność i tu jest kierowniczką. U matki zdrowej, własną piersią karmiącej swe dziecię — nie pozwala ona „strumieniowi Edenu“ tryskać zrazu za obficie — a dziecinie słodkim snem klei powieki i nie wystawia jej na szwank, aby miała ssać za wiele. To też w pierwszym tygodniu życia dziecięcia wystarczy, jeśli je przez dobę 6—7 razy przyłączymy do piersi, w drugim siedm — w następnych sześć razy tylko. Mamy przecież i tu na myśli tak zdrową matkę, jak i zdrowe i silne dziecię.

Inaczej zupełnie ma się rzecz cała, jeśli dziecina wątłemi tylko obdarzona siły, nie zabiera się do ssania z odpowiednią energią i po kilku poruszeniach buzią w sen znowu popada. Matki zadaniem natenczas powinno być, aby sztucznie podniecać niemowlę do ssania, już to wsuwając brodawkę w usta i drażniąc nią podniebienie — nagniatając pierś, aby pokarm łatwiej z niej płynął, już to wreszcie drażniąc policzek i okolicę gardła palcem, aby pobudzić dziecię do połykania. Dziecina taka, rozumie się, częściej i to stosownie do ilości przyjętego pokarmu, przyłączoną do piersi być musi.

Zdarza się, że matki pozostawiają dzieci skłonne do snu bezustannego za długo w tym, zdaniem ich, pożądanym wypoczynku. Dopiero znaki ogólnego wycieńczenia i upadku sił wyjaśniają im stan rzeczy. Rozbudzona dziecina nie krzyczy — a wszelkie zabiegi nie są w stanie podniecić sił na nowo; dziecię umiera z głodu. — Taka ospałość i bezwładność niemowlęcia powinna zawsze pilną na siebie zwracać uwagę i wymaga bardzo energicznego

postępowania. — To też, gdy o słabe dzieci chodzi — nie powinna matka pozwolić dziecku spać dłużej nad 2 do 3 godzin, po upływie których trzeba je koniecznie obudzić i z całą skrupulatnością nakarmić dostatecznie.

Matki zdrowe i silne, których dzieci zupełnem cieszą się zdrowiem — wychodzą najlepiej na tem, jeśli, karmiąc, pozwolą na przemian wyssać pokarm z swych piersi tak, aby. gdy jedna jest czynną, druga wypoczęła, i mleko w niej zawarte odpowiednie uzyskało własności. — Powinny dalej mieć na uwadze, że pokarm ich nie służy na to, aby uspakajać nim płacz, lub krzyki dziecięcia, bo one nie zawsze tylko wyłącznie głód powoduje.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wiadomości literackie, artystyczne, bieżące i rozmaitości.

Podobnie jak długie wieki toczyły się, a pono toczą się dzisiaj jeszcze spory o osobistość nieśmiertelnego twórcy „Iliady“ i „Odyssei“, jakkolwiek uczone wywody Bentleya, Jana Vico, Hedelina i innych zwyciężyły mytyczne, Herodotowi i Plutarchowi przypisywane podania o greckim śpiewaku; podobnie — powtarzamy — toczy się od dawna, a obecnie gwałtowny przybiera charakter polemika między angielskimi i amerykańskimi uczonymi o osobistość Wiliama Szekspira, ów najpotężniejszy dramatyczny geniusz świata nowożytnego. Nie chodzi tu wprawdzie, jak u starożytnego epika, o zaprzeczenie istnienia Szekspira, ale zaprzeczają, aby on był rzeczywistym autorem owych natchnionych poezyi i mistrzowskich dramatów, jakie cały nowożytny świat ucywilizowany postawił sobie za wzór, godzien naśladowania. Przeciwnicy Wiliama opierają swe wnioski na tem, że — jak utrzymują — Szekspir nietylko za swego życia nie rościł sobie pretensyi do autorstwa swych dramatycznych utworów, ale nie wzmiankował nawet o nich w swoim bardzo szczegółowym testamencie. W r. 1616, licząc zaledwie lat 52, umarł, skróciwszy sobie życie pijaństwem. I ten „nieokrzesany rzeźnik“, po którym nie zostało żadnego listu, żadnego rękopisu, tylko podpis niewyraźny, dziecinną kreślony ręką, ten człowiek miał napisać 1˘0,000 wierszy i prozy, zawartych w przypisywanych mu dziełach?... Za autora tej olbrzymiej sumy myśli ludzkiej uważany jest Franciszek Bacon, kanclerz angielski, będący w bliższych stosunkach z Szekspirem, ówczesnym dyrektorem teatru Od dwóch miesięcy wystąpił, jako antagonista Szekspira, uczony Amerykanin, Ignacy Donnely, ktory oświadczył, iż niezbite da dowody, że autorem wszystkich Szekspirowskich utworów jest Bacon. Obecnie spór, w mowie będący, toczy się z coraz wzrastającą gwałtownością — inteligencya angielska rozbiła się na dwa stronnictwa, z których jedno za Szekspirem, drugie za Baconem walczy zacięcie. Mężowie poważni i uczeni stoją po stronie ostatniego — entuzyaści, a mianowicie kobiety pozostali wierni tradycyi — czas zaś okaże po czyjej stronie słuszność.

Warszawski komitet konkursu dramatycznego imienia Alojzego Żółkowskiego uznał jednomyślnie, że żadna z nadesłanych sztuk nie zasługuje na nagrodę 1,000 rsb. Na mocy przeto prawa konkursowego rozdzielił komitet owę sumę na dwie części, jako nagrodę *pierwszą* w ilości 600 rsb. i nagrodę *drugą*, 400 rsb. A ponieważ żadna z nadesłanych sztuk nie kwalifikuje się do otrzymania nagrody pierwszej, przyznał komitet większością głosów *nagrodę drugą* sztuce p. n. „Na ojcowiźnie,“ której autorami są: pani Stefania Ulanowska i p. Alfred Szczepański. Nagrodzony utwor choć nie jest zupełnie wolny od błędów scenicznych, wyróżnia się z pomiędzy innych sztuk, nadesłanych na konkurs, talentem, jako też oryginalnością w pomyśle i w wykonaniu.

W Krakowie zostało otworzone d. 1 b. m. konserwatoryum muzyczne pod dyrekcyą p. Władysława Żeleńskiego. Pierwszą myśl założenia konserwatoryum w grodzie Krakusowym podał znany z wszechstronnej dla dobra i pożytku Galicyi czynnności św. pamięci marszałek Zyblikiewicz. Dla czego pomysł zacnego męża teraz dopiero wykonany został — niewiadomo. Trzeba mieć nadzieję, że nietylko utalentowana młodzież galicyjska, ale i nasza zpod zaboru pruskiego kończyć będzie swe studya muzyczne w krakowskim zakładzie, zamiast, jak dotąd, w Berlinie, Lipsku i t. p. obcych miejscowościach.

O ostatnim, najnowszym obrazie Siemiradzkiego: Szopen w salonie Radziwiłła, własności p. Karola Kozłowskiego, piszą „Kłosy“ warszawskie: „Przy fortepianie, wysuniętym na środek rozległego salonu, zasiadł młodzian, zaledwie 20 lat liczący Szopen, i wydobywa z klawiszy jednę z owych fantazyi muzycznych, któremi już wówczas zdobywał sobie rozgłos powszechny.... Ze wszystkich stron otacza fortepian grono pań i panów, zasłuchanych zupełnie w grę muzyka. Gustowne wyposażenie salonu i złoto-czerwonawe oświetlenie, bijące ze świec woskowych, a rozlane jednolicie po przestrzeni, dopełniają całości obrazu, który w nowej odmianie uwydatnia znane powszechnie zalety mistrzowskiej techniki Siemiradzkiego: świetność kolorytu, delikatne rozprowadzenie światła i cieniów przy ujmującej wyrazistości rysunku szczególniej portretów.... Mistrz barw wszystko zrobił, co zrobić można było dla uczczenia mistrza tonów“

O wystawie watykańskiej piszą między innemi mniej więcej, co następuje: Nietylko rozmiarami swemi, ale i rozmaitością, oraz bogactwem niesłychanem nagromadzonych tam przedmiotów wystawa jubileuszowa Leona XIII jest jedynem w świecie widowiskiem. Żadne pióro nie jest zdolne opisać tych drogocennych makat i tkanin, tych pajączych koronek, tych bronzów, marmurów, sprzętów najkosztowniejszych, obrazów, posągów, ksiąg, rękopisów, wszystkich tych arcydzieł sztuk pięknych i ozdobniczych w ich niewyczerpanych zastosowaniach. Nie na tysiące, ale na sta tysięcy liczyć można przybory, szaty i naczynia, do służby Bożej przeznaczone. Nie kładziemy szczególnego nacisku na królewskie dary, które spisane już zostały tyle kroć razy. Bogactwo ich i kosztowność wprowadzić mogą w zdumienie, a blask klejnotów jest oślepiający. Więcej jednak zastanawia nieprzejrzane mnóstwo drobnych upominków przedmiotów nieraz bez żadnej materyalnej, lub artystycznej wartości, prawdziwych groszy wdowich. Liczą się one na miliony i w nich leży najwyższa tego papieskiego jubileuszu konsekracya.

Cały naród czeski obchodził w ostatnim czasie bardzo uroczyście 40 letnią rocznicę powstania swej patryotycznej instytucyi, znanej powszechnie pod nazwą: „Narodna Beseda“. W Pradze odbyła się z powodu uroczystego tego jubileuszu uczta wspaniała na Żofinie, bal i przedstawienie w teatrze. Bal rozpoczął się polonezem, a domy i ulice rozbrzmiewały radosnym okrzykiem: „Na zdar!“ W jubileuszu, tym brały udział wszystkie klasy społeczeństwa, lud, mieszczaństwo, szlachta i arystokracya — nikt się nie wymawiał, nikt i nic nie zamąciło harmonii i zgody uro zystego programu jubileuszowego.

Jakkolwiek szan. korespondent nasz poznański, p. Żegota, zaznaczając ogólnie wypadki i zdarzenia miejscowe, nie przepomniał i o ostatnich chwilach dogorywającego karnawału, a tem samem o dwóch po sobie następujących na cele dobroczynne przedstawieniach amatorskich — my jednakże, znalazłszy w ostatniej chwili wyjścia „Domu pol.“ na biórku naszem redakcyjnem porzucone — przypadkiem może — „Notatki Zoila“, pochwyciliśmy je skwapliwie i — wbrew zwyczajowi — nie odczytawszy ich nawet, pospiesznie, by znany z szczególnej swej uprzejmości drukarz p. X. nie zawołał: „Za późno! nie przyjmuję więcej rękopisów“ — przesłaliśmy je drukarni.

Jeżeli owe „Notatki Zoilowe nie będą w zupełnej harmonii ze sprawozdaniem p. Żegoty,“ niech nam szanowny korespondent wybaczyć raczy!... wszakże znany to axyomat, że: ile głów, tyle sądów o tej samej rzeczy.“

Z notatek Zoila:

Czwartkowe z d. 9. bm. przedstawienie amatorskie mimo urozmaiconego programu nie zgromadziło (niestety! ze szkodą ubogich) tak licznej publiczności, jak dnia poprzedniego. Całość tego artystycznego wieczoru wypadła znakomicie i zniewoliła widzów do hucznych i przeciągłych oklasków. — Komedya Labiche'a „Uściskajmy się“, jedna z najlepszych może tego autora, odegraną została z większą jeszcze werwą i precyzyą, niż pierwszym razem. Widzieliśmy niedawno sztukę tę przedstawioną w Warszawie przez pierwszorzędnych artystów tamtejszych, jak Żółkowski, panna Czaki i. t. d. i przyznać musimy,

że nasi łaskawi amatorzy nie ustępują im w niczem tak pod względem umiejętnie parodyowanej „jactance française", jak w cieniowaniu owej elegancyi margrabiów i hrabiów francuzkich starej daty. Odznaczał się przede wszystkiem niezrównaną dystynkcyą w ruchach i mowie p. M. w roli margrabiego de Menicamp, który nawet niegrzeczność i impertynencyą umiał powiedzieć z najmilszym i najgrzeczniejszym uśmiechem, szczególniej w owej kulminacyjnej scenie przy obiedzie, wymagającej istotnego artyzmu, z rzuceniem szklanki i obryzganiem wodą wchodzącego szambelana zamiast kawalera de Chanteney, którego omdlenie à propos było skończenie naturalnem. To samo powiedzieć musimy o wycieniowanej artystycznie grze młodej amatorki w roli Berty, „une précieuse à mouches", której pełne gracyi kaprysiki, jak tupanie, łzy, gniew, tłuczenie porcelany i t. p. robiły złudzenie rzeczywistości. Role dwóch konkurentów oddane były znakomicie; flegmatyczny Folville nie wychodził na chwilę z swego charakteru, a energiczny i zakochany de Chanteney dziarsko zdobywał serce pięknej margrabianki. Kostyumy i ucharakteryzowanie amatorów ściśle stylowe, świetnie uzupełniały eleganckie przedstawienie! —

Z części muzycznej tegoż wieczoru uwydatnić musimy poprawną, biegłą i delikatną grę pani W., która z głębokiem zrozumieniem i czystem frazowaniem oddała liryczne „Impromptu" Szuberta i wdzięczny a ulubiony walec Chopina.

Trzeci numer programu, Transkrypcyą z opery „Faust" Gounoda na harmonium i fortepian, zastąpił, jak się dowiadujemy, uproszony w ostatniej chwili uprzejmy amator, pan dr. W.

W grze szanownego amatora nie można było wcale poznać tego ex abrupto, bo wykonał z rzadką świetnością wybrane z swego bogatego repertoaru sztuki. Oryginalnie i samoistnie traktowany „Marche funèbre" Chopina zachwycił słuchaczów, szczególniej pierwsze basowe tony lewej ręki, zazwyczaj nawet przez uczniów Chopina wykonywane legato, a traktowane przez amatora staccato nietylko nie psuły, ale podnosiły efekt tego arcydzieła. Z równem mistrzostwem oddał pan dr. W. mazurka Chopina, umiejętnie frazując rozpaczliwy płacz dziewczęcia i gwar karczmy. Ostatni ton, zamieniony umyślnie na dysonans, uwydatniał jeszcze lepiej grozę tego ponurego śpiewu. Z porywającą brawurą odegrał p. W. na zakończenie hiszpańskie tańce Moszkowskiego. Do uprzejemnienia wieczoru przyczynił się wiele śpiew panny L., która świeżym, miłym i sympatycznym głosem wykonała dwie polskie piosenki i jedną włoską. Publiczność hucznemi oklaskami dziękowała utalentowanej amatorce szczególniej za „Groźną dziewczynę", którą z niezrównanym odśpiewała wdziękiem.

Nie pominiemy także milczeniem prawdziwie oryginalnej w swym rodzaju gry na szklankach amatora-artysty, p. K. — Z zdumiewającą biegłością wykonał szanowny amator „Polonez" Andrieux, „Walca" Straussa i „Tańce ludowe". Zaznaczyć wypada, że artysta w tym rodzaju gry ma do walczenia z ogromnemi trudnościami, mianowicie z niesfornie usuwającemi się szklaneczkami, z rozległą klawiaturą, z niezmierną precyzyą, wymagającą kuglarskiej prawie zręczności.

Wszystkie te trudności pokonał pan K. zwycięzko, co w wysokim stopniu podnosi jego zasługi około gałęzi muzyki, która, będąc obecnie w zawiązku, słusznie nazwaną być może „muzyką przyszłości."

Nekrologia.

†

Dnia 11 b. m. zmarła w Poznaniu w 76 roku życia wś. p. Salomea z Krajewskich Callierowa, matka znanego zaszczytnie patryoty, pułkownika Edmunda Calliera. Zacna ta matrona, prawdziwy wzór cichych cnót domowych, przykładna żona, matka i obywatelka, pozostawiła szczery żal po sobie nietylko osieroconych dzieci i bliższej rodziny, ale wszystkich tych, co mieli sposobność bliżej poznać piękne przymioty serca jej i duszy. — Wyrazem tego szczerego żalu był liczny pogrzebowy orszak przyjaciół i życzliwych znajomych, towarzyszących w dniu 14 b. m. na cmentarz świętomarciński. Zmarłej i pragnących tym sposobem oddać hołd należny cichym niewieścim cnotom i nierozgłośnej zasłudze.

Szanownemu pułkownikowi, E. Callierowi, wyraża z tego miejsca redakcya nasza swe szczere i głębokie współczucie

Jeśli żal głęboki ogarnia każde czujące serce na myśl, że coraz większy mnoży się zastęp weteranów i weteranek, uchodzących z pola pracy narodowej, społecznej i rodzinnej do zimnej mogiły — to niemniej bolesna płynie skarga ku niebiosom, gdy śmierć nieubłagana wydziera rodzicom, rodzinie i społeczeństwu w pierwszej życia wiośnie młodzieńca, lub dziewicę, piękne na przyszłość rokujących nadzieje.

Więc żałość serdeczna objęła serce nasze, gdyśmy poprzez łzy wyczytali na żałobnej karcie nadesłane nam uwiadomienie o zgasłej, a zaledwie do życia się budzącej dzieweczce, św. p. Annie, 16 letniej córce znanych w szerokich kołach naszego społeczeństwa pp. Lucyanostwa Grabskich z Inowrocławia.

Zaledwie św. p. Anna ukończyła nauki w zakładzie, którego nauczycieli i nauczycielek dla swych świetnych przymiotów serca i umysłu ulubienicą i chlubą się stała — zaledwie wróciła do rodzinnego gniazdka, aby tamże zdobycze pracy i wiedzy pod czujnem okiem i starannem, umiejętnem kierownictwem rodziców rozwijać i uzupełniać, gdy blady anioł śmierci dotknął się skroni, kornie schylonej wobec woli najwyższej i uniosł w błękity duszyczkę wybraną, kędy, mówiąc słowami wieszcza:

„. . . . między anioły i duchy wiecznemi,
Jako wdzięczna jutrzenka świeci, a za swemi
Rodzicami się modli, jako to umiała,
Z nimi będąc . . . . ."

I prawie z innym chcielibyśmy zapytać „ojcem" zrozpaczonym:

„. . . . Czemuż ta śmierć tak zdradziecko,
Tak cicho weszła? . . . ."

Bośmy zaledwie o chorobie posłyszeli, gdy nagle dzwon pogrzebowy zbudził nas, przeraził i wstrząsnął do głębin duszy!

Dnia 12 b. m. niezliczony zastęp osób, z kapłanów, rodziny bliższej i dalszej i przyjaciół, z odległych nawet stron przybyłych, złożony, odprowadził na miejsce wiecznego spoczynku „snem nieprzespanym" uśpioną dzieweczkę, co z uśmiechem niewinności i pokoju na pobladłych usteczkach — wśród blasku świateł jarzących i smętnie-upajającej woni kwiatów — zarzucona stosem świeżych wieńcy, symbolem pamięci i miłości — zaprawdę:

„Piękną była — jak anioł — po śmierci!"

Słów tych kilka, z serca płynących, rzucamy z cichą łzą rozrzewnienia na świeżą mogiłę Zmarłej, pragnąc przelać w nie choć małą cząstkę tego żalu głębokiego i serdecznego współczucia, jakiemi wezbrało serce nasze na odgłos wieści żałobnej .... niespodzianej.

. . . .

„Ani się frasuj, że tak z rana
Twojej ze wszech najmilszej dziewce śmierć zadana;
Nie od rozkoszyć poszła — poszłać od marności,
Od pracy, od frasunków, od łez, od żałości,
Czego świat ma tak wiele!"

Takiemi słowy koił duch matki „niefortunnego ojca", gdy mu:

„Żałość długo w noc oczu nie dała
Zamknąć i zemdlonego uspokoić ciała."

Oby i nieutulonym dziś w żalu rodzicom św. p. Anny corychlej z górnej krainy spłynęła pociecha i ukojenie!

Redaktorka Teofila Radońska w Poznaniu, — Czcionkami i nakładem drukarni Dziennika Poznańskiego.